

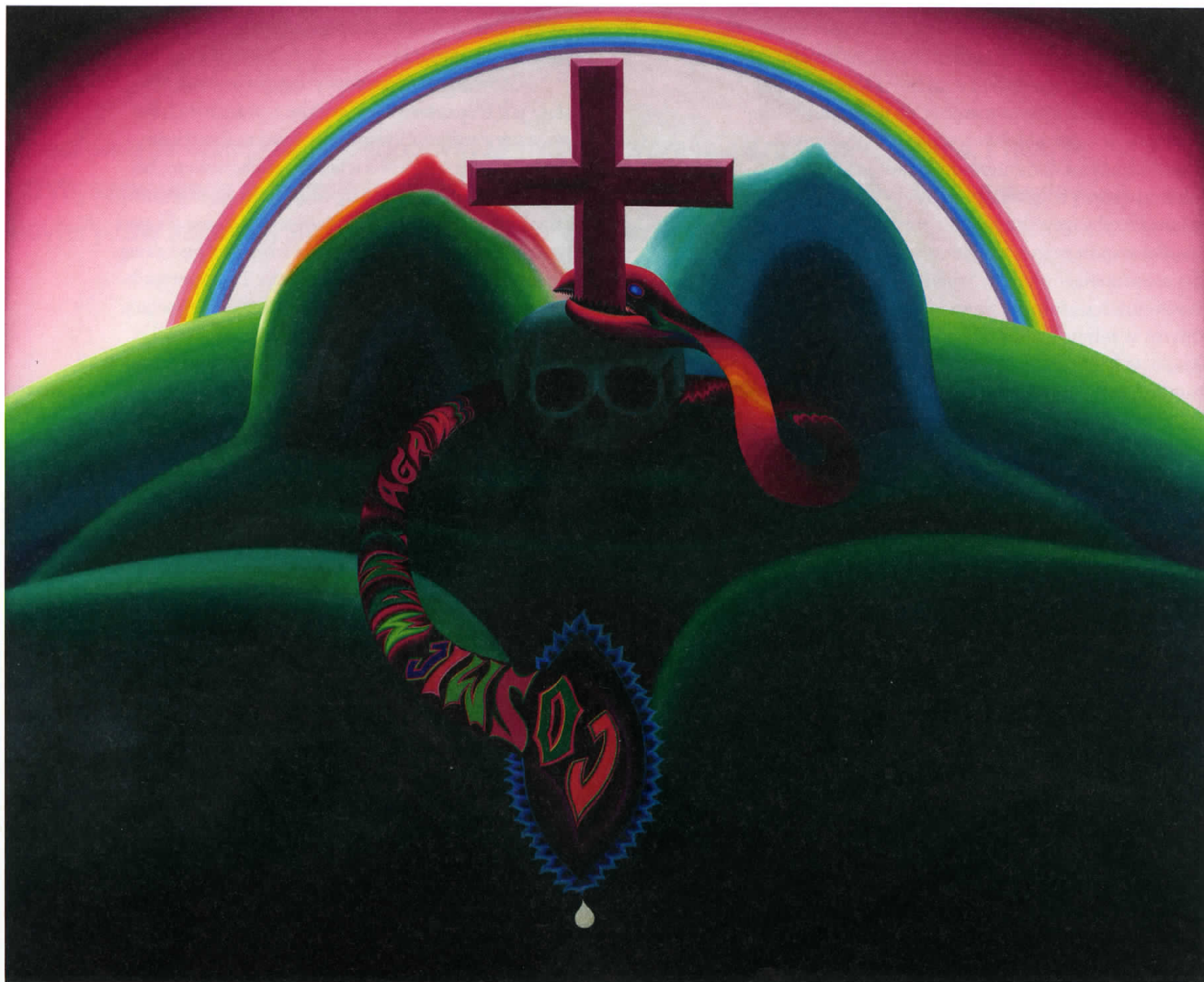
## Dzieci światła

Galeria Bielska BWA  
9 listopada – 30 grudnia 2018  
kurator: Stanisław Ruksza

*Dzieci światła* w Galerii Bielskiej BWA zorganizowano w ramach kuratorskiego cyklu Bielskiej Jesieni – tej części sztandarowej imprezy galerii, która od paru dobrych lat stanowiła, jak się wydawało – zbędny dodatek do dania głównego, czyli malarskiego konkursu. Prezentowana w wahałym cyklu naprzemiennie z biennale częścią kuratorska Bielskiej Jesieni od lat pozostaje w cieniu konkursu. Jednym z powodów takiego stanu rzeczy są zapewne mocno ograniczające założenia. Do tej pory kuratorska Bielska Jesień była z reguły

wystawą konkursową, która miała definiować stan współczesnego malarstwa. Trudno jednak co dwa lata udowodnić po raz kolejny, że malarstwo to nie tylko płaska powierzchnia pokryta farbami lub wyciągać z kapelusza nowe generacje artystów. Ale co mieli robić kolejni kuratorzy zgłaszający się do open calli, skoro takie wyznaczono im zadanie? Wymyślali więc koło na nowo, za każdym razem coraz bardziej okrągłe i coraz mniej kogokolwiek obchodzące. O ile wyniki kilku ostatnich edycji konkursu malarskiego pamiętają niemal wszyscy, o tyle wystawy kuratorskie chyba tylko uczestnicy samych konkursów.

Od przyjętych zasad sporadycznie odchodzono, po raz pierwszy przy okazji *Zawodów malarskich* Adama Szymczyka, później rocznicowej wystawy na urodziny instytucji przygotowanej przez jej dyrektorę, a po raz ostatni pięć lat



Andrzej Urbanowicz, *Kosmiczna marmusia znowu*, olej na płycie, 1971  
z kolekcji Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, dzięki uprzejmości Galerii Bielskiej BWA

temu, przy okazji trącej MOCAK-iem wystawy Jolanty Ciesielskiej poświęconej pejzażowi. Do przygotowania jubileuszowej edycji po raz kolejny zaproszono konkretnego kuratora bez organizowania konkursu, a także z góry wskazując temat przewodni czy raczej głównego bohatera. Centralną postacią *Dzieci światła* jest Andrzej Urbanowicz, a autorem wystawy dobrze znający jego twórczość Stach Ruksza, dyrektor szczecińskiej Trafostacji Sztuki. Zgodnie z założeniami *Dzieci światła* pokazywać mają najważniejsze prace Urbanowicza i jego związki z dzisiejszym malarstwem. Trudno jednak pozbyć się wrażenia, że kuratora nawiedzają przy tej okazji także duchy własnej przeszłości, mącąc w tym pozornie klarownym projekcie.

Już na poziomie tytułu *Dzieci światła* wydają się sequelem *Dzieci szatana* sprzed kilku lat, wystawy zorganizowanej wokół intelektualnej spuścizny innego twórcy, Stanisława Przybyszewskiego. Ekspozycji zaskakującej i bogatej intelektualnie, świetnie zaaranżowanej, swobodnie rozłożonej w trzech różnych miejscach, krótko mówiąc – bodaj najlepszej w historii kuratorskiej kariery Rukszy. Przypomnijmy, że na krakowskiej wystawie, w zagrzybionych wnętrzach skrytych za ociekającymi ornamentem fasadami, Ruksza dokonał rzeczy niezwykle trudnej – wydobyl z pism Przybyszewskiego idee nowoczesne, a nawet współczesne, skryte za pajęczyną literackiej młodopolszczyzny w wyjątkowo trudnym do strawienia nateżeniu i legendą utrwaloną między innymi w felietonach Tadeusza Boya-Żeleńskiego, w których pisarz jawił się jako postać tragikomiczna.

*Dzieci światła* oparte są na podobnym zamyśle, z tym, że Przybyszewskiego zastępuje tutaj Urbanowicz, a szeroko pojęte „światło” to już nie tylko transgresyjny lucyferyczny kaganek, ale i witalna energia oraz buddyjskie oświecenie. Na ogólnych podobieństwach się nie kończy – w Bielsku-Białej powracają częściowo ci sami artyści, a nawet te same prace, które były pokazywane na *Dzieciach szatana*: *Trickster* Aleki Polis czy monumentalna, kolażowa *Chaosu Świętość Niewyczerpana* samego Urbanowicza. To podstawowa różnica w stosunku do wystawy poświęconej Przybyszewskiemu – tutaj bohater obecny jest bezpośrednio, i to wyjątkowo obszernie. Właściwie połowę całej wystawy stanowią prace Urbanowicza. Od wspomnianego kolażu i *Czarnych kart* – jedynej kolektywnej reprezentacji Oneironu – na dolnym piętrze wystawy, mającym przypominać ciasną „kryptę”, po najbardziej klasyczne psychodeliczne obrazy z lat 70. i późniejsze kompozycje figuratywne, a wreszcie obiekty z kolejnych dekad piętro wyżej.

Dostajemy więc fragmentaryczny portret Urbanowicza – pasjonata alchemii i ezoteryki, budysty z żelaznej kurtyny, artysty ze Wschodu, próbującego wyśnić *American dream*, amatora erotyki ze szczególnym naciskiem na BDSM i kronikarza wizualności epoki przełomu późnego PRL i raczkującego kapitalizmu. Nie uświadczymy za to wczesnych prac, świadectw fascynacji art brutem czy eksperymentów z malarstwem materii z początku lat 60. Kurator, który zna twórczość Urbanowicza od podszewki nie tylko jako badacz, ale i jego niegdyś współpracownik, przedstawił nieco przewidywalny obraz jego dorobku. Zaskoczeniem mogą być dokumentacje wideo dwóch performansów z lat 2009–2010, kojarzących się bardziej z działaniami Pomarańczowej Alternatywy niż z praktyką twórczą Urbanowicza. W ramach akcji organizowanych wspólnie z ostatnią żoną artysty, Małgorzatą Borowską, oraz Joanną John, grupy performerów w króliczych strojach domagały się na ulicach Katowic i szczycie Śnieżki większej ilości seksu w przestrzeni publicznej, biegając z boomboksami i symulując kopulację.

Główna część wystawy zaaranżowana została jak trójnawowa świątynia, z pracami Urbanowicza w centrum i współczesnym malarstwem w nawach bocznych. No właśnie, malarstwem, bo *Dzieci światła* niby odchodzą od fiksacji na medium, ale hasło „Bielska Jesień” złowieszczo unosi się nad całym tym pokazem, ostatecznie krępując go i zawężając przede wszystkim do tego pola. Taka perspektywa okazuje się zgubna, ponieważ z reinterpretacji śląskiego artysty pozostaje głównie warstwa formalna. Na dalszy plan odsuwa się społeczno-polityczny wątek, który u Urbanowicza wyraźny jest zarówno w pracach obecnych na wystawie (oklejona dolarami wanna, królicze performansy), jak i w tym, co niewidoczne, a składające się na legendę artysty (aktywność teatralna, związki ze środowiskami hippisowskimi).

Poza proste skojarzenia wykracza zestawienie Urbanowicza z nowymi, świetnymi zresztą obrazami Martyny Czech. Te właściwie wchodzą z bohaterem wystawy w polemikę na każdym poziomie – od przedstawionej wizji świata opartego na tej przemocy po daleką od laserunkowego wylizania formy. W wybranych na bielską wystawę obrazach malarki dominują motywy seksualne, jednak nie jest to seksualność radośnie rozbuchana, ale odarta z wszelkiej erotyki, czysto biologiczna i naznaczona całkowicie oderotyzowaną przemocą. Współczesnym rozwinięciem obrazów Urbanowicza z lat 70. na wystawie stają się kolei obrazy Marka Rachwalika, w warstwie formalnej zdradzające wiele podobieństw do twórczości śląskiego klasyka, a przy tym czerpiące z zupełnie innych

źródła – fascynacji muzyką metalową i wiejską kulturą wizualną.

Na tym właściwie kończą się najciekawsze współczesne odniesienia do malarstwa Urbanowicza. Oprócz tego dostajemy cały szereg prac nieznośnie kiczowatych, bynajmniej nie celowo, jak w niektórych płótnach współtwórcy Oneironu. Począwszy od cielistych obrazów-reliefów Magdaleny Moskwy, przez hojnie nadreprezentowane monumentalne abstrakcyjno-aluzyjne kompozycje Michała Jankowskiego (krążące wokół skojarzeń chorobowych), po wisienkę na torcie – tonda Izabeli Ołdak, mandalo-galaktyki inspirowane wprost sami-wiecie-kim. W obrazach epigonki Urbanowicza nie ma jednak za grosz subtelności i błyskotliwości alchemicznych kompozycji mistrza. Obrazy autentycznie zafascynowanej ezoteryką Ołdak przypominają raczej ilustracje do pulpowego periodyku pokroju „Wróźki”. Co mogłoby nawet być zabawne, gdyby kurator spróbował jakoś sproblematyzować współczesny status tego rodzaju wizualności.



Maciej Salamon. Wpiekłostąpienie, z cyklu Wpiekłostąpienie akryl i mazaki na płótnie, 2018, dzięki uprzejmości Galerii Bielskiej BWA

***Dzieci światła* oparte są na podobnym zamyśle co wcześniejsze *Dzieci szatana*, z tym, że Przybyszewskiego zastępuje tutaj Urbanowicz, a „światło” to już nie tylko transgresyjny lucyferyczny kaganek, ale i witalna energia oraz buddyjskie oświecenie.**

Ruksza jednak nie pogłębia ani tego typu wizualności, ani jej kontrkulturowych korzeni. A i ten kontekst wypada tu ciekawie. W końcu Urbanowicz, fan trawy i LSD, skontrastowany zostaje z Rachwalikiem, Zaskórkim czy Maciejem Cholewą, młodymi *straight edge’ami* ze Śląska, stroniącymi od narkotyków abstynentami, którzy w ostateczności zapalą czasem papierosa. Czy takie prywatne szczegóły mają znaczenie? Biorąc pod uwagę to, że Urbanowicz jest dla nas dziś istotny tyleż jako artysta, co wyznawca i propagator pewnego stylu życia (to jemu Kamil Sipowicz zadedykował *Encyklopedię polskiej psychodelii*), łączącego się ściśle z reprezentowaną formacją intelektualną i polityczną – jak najbardziej. Ruksza ślizga się jednak po powierzchni. Zaprasza na przykład Bartosza Zaskórkiego, ale pokazuje – klasycznie – kilka rysunków i słuchowisko. Nie zastanawia się natomiast nad relacją jego muzycznego projektu Mchy i Porosty, otwartego na różnorakie kolaboracje i introwertycznego zarazem, z mistyczno-magicznym teatrem Oneiron 2, redukując muzykę Zaskórkiego do wernisażowej, koncertowej atrakcji.

Choć zamysł *Dzieci światła* wywołuje silne skojarzenia z *Dzieci szatana*, efekt jest wręcz odwrotny. Podczas gdy wystawa o Przybyszewskim odkrywała zapomniane i żywe aspekty myśli młodopolskiego pisarza, ekspozycja poświęcona Urbanowiczowi przywołuje najbardziej ograne wątki z jego dorobku i nawet średnio obeznanego z tematem widza nie olśni. Prac samego Urbanowicza jest tu jednocześnie za mało na uczynienie z wystawy podręcznikowej monografii, ale i za dużo, by zrozumieć brak rozwiniętej kuratorskiej narracji wokół jego postaci i dorobku. Pozostaje cieszyć się, że *Dzieci światła*, przynajmniej z perspektywy instytucjonalnej, wprowadzają potrzebne ożywienie w programie Galerii Bielskiej BWA i odstają od poprzednich kuratorskich Bielskich Jesieni – wystaw przypominających scholastyczne rozważania o liczbie aniołów mieszczących się na główce od szpilki.

Piotr Policht